

Potwarz

30 lipca 2017

Nauczyciel kaligrafii Sergiusz Kapitonycz Achiniejew wyprawiał wesele swej córce, którą wydawał za nauczyciela historii i geografii Iwana Piotrowicza Łoszczadzinych. Bawiono się ochoczo – wszystko szło, jak po maśle. W salonie śpiewano, grano, tańczono. Po pokojach biegali, jak opętani, wypożyczeni w klubie lokaje w czarnych frakach i białych, zabrudzonych krawatach. Panowała wrzawa i gwar. Nauczyciel matematyki Tarantułow, Francuz Pasdequoi i młodszy rewizor izby kontroli Mzda, siedząc koło siebie na sofie, opowiadali gościom wypadki, jak to składano w grobie żywych ludzi, śpiesząc się i przerywając sobie wzajemnie, ponadto zaś wypowiadali swoje opinie o spirytyzmie. Żaden z nich nie wierzył w spirytyzm, ale wszyscy się zgadzali, że istnieją na świecie rzeczy, których nigdy nie zgłębi rozum ludzki. W drugim pokoju nauczyciel literatury Dodonski tłumaczył gościom, w jakich razach żołnierz, stojący na warcie, ma prawo strzelać do przechodniów. Rozmowy, jak widać, były straszne, lecz przyjemne. Przez okna z podwórza zaglądali ludzie, nie mający prawa wejść do środka ze względu na swą sytuację społeczną.

Punktualnie o północy gospodarz klasowy Achinejew poszedł do kuchni przekonać się, czy wszystko już gotowe do kolacji. Kuchnia od podłogi do sufitu zapełniona była dymem, z którym mieszały się wonie pieczonych gęsi i kaczek oraz wiele innych. Na dwóch stołach rozstawione, porozkładane były w artystycznym nieładzie różne zakąski i napoje. Przy stołach krzątała się kucharka Marfa, czerwona baba z podwójnym brzuchem.

– Pokaż no mi jesiotra! – powiedział Achiniejew, zacierając ręce i oblizując się. – Co za zapach! Co za miazmat! – Chciałoby się całą kuchnię zjeść! No, pokażże jesiotra!

Marfa zbliżyła się do jednej z ławek i ostrożnie uniosła zatłuszczony arkusz gazety. Pod tym arkuszem na ogromnym

półmisku leżał jesiotr w galarecie, upstrzony kaparami, oliwkami i marchewką. Achiniejew spojrzał na jesiotra i osłupiał z zachwyty. Twarz mu się rozjaśniła, oczy zaiskrzyły. Nachylił się i wydał wargami dźwięk nieposmarowanego koła. Postawszy chwilę, strzepnął palcami i jeszcze raz cmoknął wargami.

– Ba! Dźwięk płomiennego pocałunku!... – Z kim się tak całujesz, Marfo? – ozwał się głos z sąsiedniego pokoju i we drzwiach ukazała się strzyżona głowa pomocnika gospodarza klasowego Wańkina. – Z kim to? A-a-a – bardzo przyjemnie! Z Sergiuszem Kapitonyczem. Dobry starzec, nie ma co mówić! Z płcią nadobną tête-à-tête.

– Ja się wcale nie całuję – zmieszał się Achiniejew – kto ci to powiedział durniu? Ja tylko tego... wargami cmoknąłem... z zadowolenia... na widok ryby...

– Gadaj zdrów!

Uśmiechnięta twarz Wańkina zniknęła za drzwiami, Achiniejew zarumienił się.

...Licho wie, co takiego – pomyślał sobie. – Pójdzie teraz, gałgan, będzie opowiadał i naplotkuje. Przed całym miastem mnie skompromituje, bydlę!

Achiniejew nieśmiało wsunął się do salonu i zerknął w bok: gdzie Wańkin? Wańkin stał koło fortepianu i przybrawszy zuchowatą pozę, szeptał coś do ucha, śmiejącej się, krewnej inspektora.

...To o mnie! – pomyślał Achiniejew, – O mnie niech go szlak trafi! A ona wierzy! Śmieje się. Boże drogi! Nie można tego tak zostawić... nie... Trzeba tak zrobić, żeby mu nie wierzyli... Pomówię z nimi wszystkimi – i jego jeszcze na dudka wystrychnę.

Achiniejew podrapał się w głowę i wciąż zażenowany, zbliżył

się do Pasdequoi.

– Byłem dopiero co w kuchni, żeby wydać dyspozycje co do kolacji – powiedział Francuzowi. – Ja wiem, że pan lubi ryby, a mam, panie drogi, jesiotra – palce lizać! Ze dwa arszyny! He-he-he... Ale à propos... o mało nie zapomniałem... Z tym jesiotrem – to prawdziwa anegdota! Wchodzę do kuchni i chcę obejrzeć potrawy... Patrzę na jesiotra i z zadowolenia... że to sztuka pikantna... cmok wargami! A w tej właśnie chwili nagle wchodzi ten dureń Wańkin i – ha-ha-ha! mówi: – „A-a-a... Całujecie się tu?... z Marfą kucharką.”– Też wymyślił, osioł! Obskurna baba, a on... całować się! Dziwak!

– Kto dziwak? – spytał Tarantułow, zbliżywszy się.

– To ten Wańkin! Wchodzę do kuchni...

I opowiedział o Wańkinie.

– Rozśmieszył mnie ten dureń! Moim zdaniem zaś przyjemniej byłoby pocałować się z mopsem, niż z Marfą – dodał, obejrzał się i ujrzał za sobą Mzdę.

– My o Wańkinie – powiedział mu. – To dopiero dziwak! Wchodzi do kuchni, zobaczył mnie razem z Marfą i zaczyna różne żarciki stroić. – „Czemu się całujecie?” powiada. Po pijanemu widać tak mu się zdawało. Ale ja, mówię, prędzej z indorem się pocałuję, niż z Marfą. Ja mam żonę, powiadam, durniu ty jeden. Rozśmieszył mnie!

– Kto pana rozśmieszył? – zagadnął pop, nauczyciel religii.

– Wańkin. Stoję sobie, widzi pan, w kuchni i patrzę na jesiotra...

I tak dalej.

Nie minęło i pół godziny, a już wszyscy goście wiedzieli o historii z jesiotrem i Wańkinem.

...Niech im sobie teraz opowiada! – myślał Achiniejew. – Niech! On zacznie opowiadać, a każdy mu zaraz przerwie: – „Przestać, durniu, pleść głupstwa! Wiemy wszystko!”

I Achiniejew uspokoił się do tego stopnia, że wypił cztery kieliszki nad miarę. Odprowadziwszy po kolacji państwa młodych do sypialni, udał się do siebie i zasnął, jak niewinne dziecko; nazajutrz zaś już nie pamiętał o historii z jesiotrem. Lecz niestety! Człowiek strzela, a Bóg kuli nosi. Złe języki zrobiły swoje i Achiniejewowi nie pomogły jego zabiegi. Akurat w tydzień później, w środę, po trzeciej lekcji, gdy Achiniejew stał w pokoju nauczycielskim i rozprawiał o występnych nałogach ucznia Wysiekina, zbliżył się do niego dyrektor i odwołał go na bok.

– Mam parę słów do pana, Sergiuszu Kapitonyczu – rzekł do niego. – Przepraszam... To nie moja sprawa, muszę jednak dać do zrozumienia... Mój obowiązek... Widzi pan, kursują pogłoski, że pan żyje z tą... kucharką... To nie moja sprawa, ale... Niech pan sobie z nią żyje... jak pan chce, tylko prosiłbym, nie tak otwarcie! Ja pana proszę! Nie zapominaj pan, że jesteś pedagogiem!

Achiniejewowi zrobiło się zimno i mdło. Jak pokąsany przez rój pszczoł i oblany wrzątkiem, poszedł do domu. Szedł i zdawało mu się, że całe miasto patrzy na niego, jak na zhańbionego. W domu oczekiwało go nowe nieszczęście.

– Czemu nic nie żresz? – spytała go żona podczas obiadu. – Nad czymś się zamyśliłeś? O amorach myślisz? Za Marfuszą się zatęskniłeś? O wszystkim wiem, ty bisurmanie! Dobrzy ludzie otworzyli mi oczy. Uch... barbarzyńco!

I bęc go po twarzy... Wstał od stołu i nie czując ziemi pod nogami, bez czapki i płaszcza, powłókł się do Wańkina. Zastał go w domu.

– Podlec z ciebie – zwrócił się Achiniejew do Wańkina. – Za coś mnie przed całym światem błotem obrzucił? Dlaczegoś o mnie

potwarz rozsiewał?

– Jaką potwarz? Co się panu przyśniło?

– A kto naplotkował, że ja się z Marfą całuję? Powiesz, że nie ty? Nie ty, zbrodniarzu?

Wańkin drgnął i zadygotał wszystkimi fibrami swej pomiętej twarzy, wzniosł oczy ku obrazowi i przemówił:

– Niech mnie Bóg skarże! Niech mi oczy wypłyną, niech zdechnę, jeżeli chociaż słowo o panu mówiłem. Niech mnie wszystkie... cholery za mało!...

Szczerość Wańkina nie ulegała wątpliwości. Jasnym było, że to nie on naplotkował.

...Lecz kto?...kto... – zamyślił się Achiniejew, przebiegając w pamięci wszystkich swoich znajomych i bijąc się w piersi. – Któż wreszcie?...

– Kto?... – i my spytamy czytelnika.

Autorstwo: Anton Czecho

Tłumaczenie: A. W.

Źródło: WolneLektury.pl